NUMER 18. DNIA 30. KWIETNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DR. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. 1)

Społeczne zadania naszej kobiety.

(Odczyt wypowiedziany na dochód stow. pomocy naukowej dla Polek w Krynicy, Szczawnicy i Zakopanem w sierpniu 1904 r.)

Zamiast tytułu niniejszego odczytu postawiłabym pytanie:

Jaką być powinna społeczna praca kobiet naszych?

Zanim jednak spróbuję sformułować odpowiedź, porozumieć się nam trzeba, o jakiem społeczeństwie mówimy? Czy chodzi o dzisiejsze z tysiącem niedomagań jego i ułomności, z zasadniczym i niedającym się zażegnać rozdźwiękiem ustroju, który większość ogromną społeczeństwa skazuje na pracę, troskę i niedostatek, a wybrańcom nielicznym wszystkie korzyści cywilizacji dzisiejszej na swoją korzyść zagarniać pozwala? Czy może, zapominając o rzeczywistości, wejdziemy odrazu w krainę przyszłej utopji, w sferę ideałów demokratycznych?

Niepoprawni optymiści, ludzie, którzy swoje aspiracje i szczęście osobiste złożyli na ołtarzu przyszłego ustroju, wierzą, że on wejdzie, jak wschodzi słońce po burzy, jak dzień po nocy. Odrazu promienny, piękny i skończenie dobry. Ale ci szlachetni optymiści są jednocześnie zupełnymi desperatami, gdy chodzi o czasy nasze. Nie chcą w nich widzieć zadatków przyszłości, nie dojrzą powolnego stawania się jutra, które pocichu, niespostrzeżenie ale i nieodwołalnie nadchodzi, które wyswobadza się z pęt dzisiejszej nędzy, dzisiejszej ciemnoty, dzisiejszego okrucieństwa i strasznej niemocy, aby młodzieńczym zapałem, dojrzałe siłą, opromienione ideą dobra i wolności ukazać się kiedyś w nowej szacie. To powolne przeobrażanie się teraźniejszości w przyszłość mało widocznem jest dla oka współczesnych. Oceni je kiedyś historyk naszej doby i on to odszukać potrafi elementy, które wysiłkami swymi metamorfozy dokonały.

Inaczej być nie może.

Przeobrażenie musi być powolnem i mało dostrzegalnem, bo chodzi o głęboko sięgające zmiany w samym człowieku. Nie postęp kultury materjalnej, nie istnienie instytucji humanitarnych i cywilizacyjnych, ale uszlachetnienie natury samych ludzi, przejęcie ich pierwiastkami dobra i piękna, wysoka kultura ich umysłu i serca zaznaczą narodziny nowej epoki. Tam, gdzie człowiek sam jest przedmiotem i podmiotem przeobrażenia, to znaczy, gdzie w nim samym i przez niego ma ono nastąpić, tam jednocześnie stwierdzającym fakty obserwatorem być mu prawie niepodobna.

Coraz powszechniej przyjmuje się mniemanie, że to odrodzenie ducha nastąpić musi i że dziś już stawiamy ku niemu pierwsze kroki.

I oto w takiej przełomowej chwili pojawia się zastęp współpracowniczek, szeregi nowych kobiet. Z kółka rodziny, jakiem była dotąd, żyjąc dla rodziny i w rodzinie, nie wyodrębniając się w swem działaniu, kobieta przeistacza się w indywidualność, która chce i może żyć własnem życiem.

Przeobrażenie to dokonywa się w oczach naszych. Patrzymy wszyscy na kobiety, zdobywające samodzielny byt materjalny, wykształcenie fachowe, stopnie naukowe, wreszcie stanowiska w istniejących już hierarchiach urzędniczych czy przemysłowych.

Nawet te kobiety, które, idąc torem wskazanym przez babki i matki, z domu rodziców przechodzą do domu męża, oddają się jedynie wycho-

waniu dzieci i obowiązkom domowym, zmieniły się w duszy, i one odczuwają prąd nowy, współczują siostrzycom, które zajęły wysunięte naprzód posterunki, a w stosunku do bliższego i dalszego otoczenia czują się ludźmi powołanemi do stanowienia o losie swoim.

Są to wszystko typy nie nowe już dla nas, ale budzące zdziwienie nawet lat temu piętnaście, a tak już liczne, że rachować się z niemi trzeba, jako z nowym czynnikiem w społeczeństwie, z nową siłą.

Dumni być możemy, że czasy nasze wydały zastęp jednostek świadomych i samodzielnych, że udostępniły im źródła kultury, że z siły biernej i potencjalnej wytworzyły czynny element.

Jednostka nie może przecież być celem sama w sobie, bo życie ludzkości ani narodu nie kończy się na pokoleniu współczesnem. Jesteśmy tylko ową warstwą przejściową, którą wytworzyła przeszłość, a którą przyszłość zapowiada i kształtuje. Tę przyszłość, która jest jednocześnie krainą naszych ideałów, naszych niespełnionych planów, w której widzieć chcemy ziszczone nadzieje i pragnienia, kraj naszych dzieci!

Pytamy przeto, co wnosi do życia to pokolenie nowych kobiet, jakie pierwiastki twórcze przekażą one pokoleniom przyszłym, czem zbogacą kulturę jutra?

Nowe nabytki opierać się muszą na odrębnych właściwościach duszy kobiecej, właściwościach uznawanych po wsze czasy. Wiadomo przecież, że dziewięć dziesiątych sądów, wydawanych dotąd o kobietach, wychodziło od mężczyzn i że w tych sądach jest ona aniołem, szatanem, sfinksem, istotą zagadkową, lub bezdusznem bawidełkiem.

Snadź natura kobiecej duszy nader odrębną od męzkiego *ja* być musi, skoro mężczyzna czyni ją po wsze czasy wyższą lub niższą od siebie, lecz nigdy nie zaliczał do tej samej kategorji.

Przyczyna tej oceny nie tkwi wyłącznie w odrębności płciowej, ani w uczuciach, które ona budzi. Szukać jej raczej należy w świecie instynktów, na owej odrębności opartych, oraz w sferze uczuciowo-moralnej i umysłowej. U kobiety większą rolę gra uczucie i wyobraźnia, nietyle twórcza, co odtwórcza, przemagają one nad czysto intelektualnemi właściwościami i czynom oraz kobiecemu poglądowi na świat specjalną nadają barwę.

Przewagę wyobraźni i uczucia potęguje dziś niewątpliwie wychowanie kobiety, które na wszystkich stopniach wykształcenia daje jej mniejszą, niż mężczyźnie sumę faktów, więcej zaś i częściej odwołuje się do uczucia. Podobnie i mniej zwrócone na zewnątrz, mniej czynne, a bardziej kontemplacyjne życie, jakie kobieta już choćby przez swe obowiązki macierzyńskie prowadzić jest zmuszoną, usposabia ją do poddawania się działaniu wyobraźni i uczucia, usuwając konieczność szybkiego orjentowania się, sądzenia i bezpośredniego przekuwania pomysłu w czyn.

Natura i sposób życia, związany z powołaniem kobiety jako matki i wytworzony przez kulturę, dały zatem przewagę pierwiastkom uczuciowym nad rozumowemi, a wyobraźni nad krytycyzmem i ścisłością sądu, wysubtelniły jej nerwy, zaostrzyły wrażliwość. Po za tem na osobowości kobiety pozostawić musiał ślady przez wieki trwający tryb jej życia. Zajęcie gospodyni i matki, obracające się w ciasnym zakresie drobiazgowych czynności, pojęć czysto konkretnych nadały jej umysłowi kierunek mało skłonny do filozoficznych rozmyślań, ale nader podatny do zrozumienia nędz i braków codziennych. Odsunięta od samodzielnego życia nauczyła się współczuć z drugimi, wnikać w ich duszę i rozumieć ją umie, również szukać czynników etycznych tam, gdzie mężczyzna widzi tylko oddziaływanie warunków zewnętrznych, indywidualizować to, co on zalicza do grupy i traktuje ryczałtowo.

Wszystkie te właściwości uczynić z kobiety mogą użyteczną, a nawet wybitną pracownicę na niwie społecznej.

Dopóki rodzina była dla niej światem całym, żyła i poświęcała się dla niej, gdy staje się cząstką czynnego społeczeństwa indywidualność swoją, wiedzę, pracę i służące tym wszystkim właściwościom za podkład uczucie, przyniesie ogółowi w darze. Chodzi tylko o to, ażeby zrozumiała, na czem opiera się uspołecznienie życia, jakie zadania w tym skomplikowanym organizmie specjalnie przypadają kobiecie. Potrzeba przedewszystkiem, ażeby badała istotę i zadania własnego społeczeństwa i swoją w niem rolę, aby miała chęci dobre dawać więcej, niż brać, podobnie, jak to czyniła dotychczas, tylko w myśl swojej indywidualności i jej uzdolnień.

(C. d. n.)

MARJAN GUMOWSKI. 4)

PORTRETY KOŚCIUSZKI.

(Ciąg dalszy.)

Ze względów ikonograficznych najodpowiedniej będzie zająć się teraz innymi portretami, przedstawiającymi Kościuszkę w mundurze, jak u Grassiego i Johna, o których nie można jednak powiedzieć, by to były kopje. Mówię przedewszystkiem o miniaturach. Nie potrzeba się rozwodzić, jak malowanie miniatur było z końcem XVIII. i na początku XIX. wieku w całej Europie rozpowszechnione i modne: kobiety nosiły je na piersiach, na szyi, na bransoletach, mężczyźni na tabakierach, na bandoletach etc. Warszawa była wówczas siedzibą całego legjonu miniaturzystów. Celowały w tej sztuce obie panie Bacciarelli, żona i córka malarza, Wincenty Lesseur, kopjujący dzieła Grassiego, z którym się już spotkaliśmy, nadworny miniaturzysta Józef Kosiński, wymieniony wyżej rytownik Józef Kappeller, gorący wielbiciel Kościuszki K. Bechon, którego portret jenerała przytacza Rastawiecki (Słownik malarzy str. 51.) i wielu innych bardzo zdolnych artystów. Niektórzy wśród nich byli zarówno rytownikami, jak ów znany profesor matematyk i astronom, Józef Łęski, który jako oficer wojska polskiego dostał się w tym roku do niewoli pruskiej, jak ów drugi rytownik warszawski Karol Gröll, uczeń Chodowieckiego, twórca kilku wynalazków w dziedzinie przemysłu. Nie należy pominąć najstarszego z miniaturzystów warszawskich, Ludwika Marteau, pensjonarjusza królewskiego i dobrego pastelistę, lub tak sympatycznego artystę krakowskiego Stachowicza, który prawdziwie fabrykował portreciki Kościuszki, robiąc je gwaszem i akwarelą na pergaminie lub papierze. Ci jednak ostatni, wyżej wspomniani artyści Łęski, Gröll, Marteau i Stachowicz, pojmowali inaczej portret Kościuszki, a właściwie szli za innym wzorem, a nie za tym, którym się teraz zajmujemy, a który sobie za wzór obrała większa część miniaturzystów ówczesnych i późniejszych.

Miniatury zaczęły się oczywiście ukazywać dopiero wtedy, gdy Kościuszko stał się pierwszą osobistością w państwie. Wtedy naraz ukazały się obok obrazów olejnych, modne wówczas miniatury, sylwetki, gwasze i to nietylko w Warszawie, ale i w Krakowie i na prowincji. Do najlepszych może należy miniatura z Muzeum Narodowego w Krakowie, [5]) bez podpisu artysty, której reprodukcję podajemy. (Fig. 6.) Kościuszko ubrany tutaj w zwykły szaraczkowy surdut bandoletą przepasany, z dużym żabotem na piersiach, ma twarz o rysach ostrych z silnie wysuniętym, spiczastym nosem i wysuniętą dolną wargą, z łagodnym, lecz jakby nieco zdziwionym wyrazem oczu. Włosy bujnymi lokami spadają na wszystkie strony, w tyle są zaś ujęte kokardą. Podobieństwo zdaje się być wcale znaczne, ważna jest ta miniatura z powodu, że była niegdyś własnością p. Katarzyny Estkowej, siostrzenicy Kościuszki i pochodziła zapewne z domu samego Naczelnika.

Fig. 6.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Miniatura olejna na kości słoniowej z 1794 r (?)

Podobnego pochodzenia jest też miniatura, znajdująca się w Muzeum Narodowem w Rapperswylu, z popiersiem Kościuszki w owalu, z jego włosami na stronie odwrotnej pod szkiełkiem schowanymi. Inne dwie miniatury z tegoż muzeum przedstawiają naczelnika w $^{3}/_{4}$ na lewo w granatowym lub białym mundurze z czerwonym kołnierzem.

Folkernita, Kellera etc. podobne miniatury znane są z Muzeum Narodowego w Krakowie, z Muzeum Czapskich, Czartoryskich i innych, są jednak przeważnie robione już nieco później. Tylko

[5]) Patrz: E. Swieykowski: Miniatury Muzeum Narodowego w Krakowie.

na jednej miniaturze u hr. Czapskich widać wyraźny rok 1794 obok niedającego się rozwiązać monogramu artysty A. R.

Za to współczesnemi będą rozmaite sylwetki z popiersiem Kościuszki, które wówczas tak bardzo były w modzie.

Gdy Kościuszko w marcu 1794 roku zjechał do Krakowa, a dnia 24. t. m. odbył uroczysty akt przysięgi, wówczas, czytamy, *) mnóstwo młodzieży i osób przystroiło się w jego portreciki i sylwetki, które nosili u czapek, na piersiach, w klamrze u pasa, a większa część tych portrecików miała być już dawno przed jego przyjazdem przygotowana. Daje to miarę z jednej strony popularności naszego bohatera, z drugiej zaś spopularyzowania się tej gałęzi sztuki. Kilka nader ciekawych sylwetek dochowało się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, jedną z nich bardzo artystycznie wykonaną dajemy w reprodukcji. (Fig. 7.) Robiona 1794 r. dnia 24. marca przez *Kazimierza Małachowskiego,* artystę krakowskiego, daje nam wcale wierny profil Kościuszki, ubranego w amerykański paskowany mundur. Inna sylwetka z tegoż Muzeum, przedstawiająca Naczelnika w jeneralskim mundurze, z wysoką czapką graniastą, dość niezręczna, ma ciekawą historję. Kazał ją bowiem robić Jakób Jasiński, wódz powstania wileńskiego, na klamrze od swojej ładownicy. Na tej klamrze, która ma wygląd małej tabakierki, kazał umocować najpierw krzyż honorowy, otrzymany od Kościuszki za waleczność, a potem w środku umieścił dwie sylwetki: Kościuszki z napisem: „Jak zacząłeś chwalebnie, tak postępuj trwale“, a z drugiej strony swoje popiersie z napisem: „Twe rozkazy, nasz wodzu, pełnić będziem stale“, słowa wyjęte z rozkazu Kościuszki

Fig. 7.



Muzeum Narodowe w Krakowie

Sylwetka czarna na zielonem szkle malowana przez Kaz. Małachowskiego w 1794 r.

i raportu Jasińskiego. Ciekawa jest też sylweta ręcznie wykonana wśród sztychowanego i festonami ubranego obramienia, w Muzeum Nar. krakowskiem. Przedstawia ona głowę Kościuszki bardzo przypominającą rysunek ks. Izabeli Czartoryskiej, wcale prawdziwą i starannie obrobioną.

(C. d. n.)

*) Patrz „Kościuszko“ T. Korzona.

ELIZA ORZESZKOWA. 8)

Dziwna historja.

(Ciąg dalszy.)

W rozumnych i energicznych rękach brata mego, z pierwszej tej cegły wyrósł obszerny gmach. Mniejsza o to, co budował, ale, że w pracę swą wkładał jedną ze swych cech najbardziej znamiennych, którą była do zaciętości posunięta stałość uczuć i dążeń, więc uwieńczyła ją pomyślność. A że przytem posiadał szczęście rodzinne...

Wicher nieszczęścia chłostał przez czas dość długi odważną tę głowę i biczem ognistym zacinał te silne ramiona, lecz pod Bożą ręką ucichł potem i głowa podniosła się znowu z pełnią swych myśli niezłomnych, a ramiona wyprężyły się do trudów i do rozkoszy życia, z pełnią swych sił niepospolitych.

Od otrzymania listu owego długie miesiące przeminęły, zanim w pokoikach naszych rozległ się krzyk szalonej radości, z jaką upadłam w szeroko przedemną rozwarte objęcia brata.

Przepłynął po nas strumień czasu i obojgu przysypał włosy srebrem, mnie przedwcześnie, jemu tak pięknie, że zdawały się być koroną promienną, która zwieńczyła jego trochę tylko zmęczone czoło. Zdrowym ujrzałam go, silnym, pełnym dawnych niezłomnych myśli i uczuć, prawie młodym.

Bywają takie słupy, które z wichrzystej burzy dobywają się proste, nienaruszone, z głowicami, tak

jak przed burzą, dumnie i strojnie podniesionemi ku niebu; lecz są to słupy, wykute z jednej bryły drogocennego kamienia.

Biada wśród wichrów i błyskawic tym, którym wnętrzności toczą odłamy pięknych kruszców w roztokach lichej gliny!

Z gwarem zapytań, opowiadań, śmiechu, zmieszanego z płaczem, wykrzyków radości roztapiających się w westchnienia, wprowadziłyśmy gościa drogiego do małej jadalni naszej i razem z nim zasiadłszy u tego stołu, przy którym, przez lata długie, po niezliczone razy smutne usta nasze z utęsknieniem i uwielbieniem imię jego wymawiały.

Był to jeden z tych obiadów, których nikt jeść nie chce, bo wszyscy nasyceni są przez radość i których nikt jeść niema czasu, bo wszystkie usta zajęte są mówieniem. Zdaje się, że z początku wszyscy czworo mówiliśmy razem, zaledwie się nawzajem rozumiejąc i choć potem rozmowa stała się porządniejszą nieco, gorączkowego tętna długo utracić nie mogła.

Z gorączkowymi rumieńcami na policzkach słuchałam brata, mówiącego o zamiarach swych osiedlenia się w wielkiem mieście i rozpoczęcia tam jakiejś trudnej i ogółowi użytecznej pracy, gdy krzątająca się dokoła stołu Rózia dotknęła mego ramienia z cichym szeptem:

— Spójrz! Niemy!

Spojrzałam w kierunku wskazywanym i oczy moje, z których przez brzegi wylewała się radość, ujrzały widok, z którego przez brzegi wylewał się ciężki smutek.

Przy małym stoliku, u okna, siedział niemy tracz, którego obecności, nikt z nas, oprócz Rózi, w zawierusze wzruszeń nie spostrzegł. Była to zresztą istota, tyle w życiu naszem znacząca, ile dla człowieka znaczyć może wróbel głodny i zziębły, któremu on przez okno sypie z litości garść ziarn czy okruch. Od roku prawie przychodził tu dość często, a nie znałyśmy jego imienia, mówiąc o nim zwykle: niemy tracz albo wprost: niemy. Spotykałam go też niekiedy na ulicach miasta, ale nigdy nie prosił mię o jałmużnę. Rózię, owszem, prosił w sposób dość dziwny, i który ją wzruszał, bo nie wyciągał nigdy ręki, ani wydawał tych przykrych skomleń, które zazwyczaj wychodzą z gardeł ludzi pozbawionych mowy, lecz tylko wątłe ciało jego w grubej siermiędze i głowa osypana popiołem chyliły się w pokłonie jak grób milczącym i w którym Rózia wyczytywała pokorę głęboką i bolesną. Zdawało się, że przez ten rok opadł już był na ostatnie dno nędzy. Zarabiać na chleb nie pozwalała mu choroba dawna, którą uproszony przez nas lekarz, uznał za nieuleczalną. Wiedziałyśmy, że, jeśli nie dni, to miesiące lub tygodnie życia tego nędzarza były policzone.

Teraz, przy małym stoliku...

Ten mały stolik był miejscem, na którem zwykle Rózia żywiła naszych ubogich gości. Iluż ich, najrozmaitszych: kobiet i mężczyzn, starców i dzieci, siadywało przez te długie lata tam, u okna, zawieszonego z zewnątrz zielenią ciasnego podwórka w lecie, a białością jego w zimie!

Teraz była jesień i klon rosnący za oknem, zawieszał je firanką z pożółkłych liści, na której tle, ciemną, ciężką plamą odrzynała się postać niemego tracza, dziwna w tej chwili postać!

Siedział tak zgarbiony i z tak nizko pochyloną głową, że twarzy jego wcale widać nie było; tylko opadała mu z niej na piersi puszcza włosów twarz obrastających, przez co i głowa i pierś jego wydawały się grubo osypanemi popiołem. Ręce nieduże, sine, opuchłe, szramami i guzami okryte, leżały na siermiędze okrywającej kolana, a z pod obwisłych krzaków brwi kapały na siermięgę, na kolana i na ręce, duże, rzęsiste łzy. Padały one w ciszy kamiennej. Człowiek ten cały wydawał się w tej chwili wykutym z ciemnego kamienia i możnaby myśleć, że w tej kamiennej postaci coś tajało i wyciekało z niej ciężkiemi, cichemi kroplami. Ani łkania, ani westchnienia, ani najlżejszego poruszenia. Tylko ze zgarbionych pleców zwisająca ta głowa osypana popiołem i z pod obwisłych brwi padający na pokaleczone ręce ten deszcz ciężkich, cichych łez...

Rózia szybko przybliżyła się ku niemu i zaczęła bardzo cicho zapytywać go, czy pocieszać, a on, głowy nie podnosząc, wyjął z za siermięgi swoją białą tabliczkę i ręką, która trzęsła się, jak liść na wietrze, ledwie czytelnymi znakami napisał znowu jeden tylko wyraz: przepraszam! W parę minut potem nie było go już w pokoju. Rózia chciała wyjść za nim, zapytać, może pocieszyć, ale przemówił do niej o czemś najdroższy gość nasz, więc pobiegła ku niemu z odpowiedzią, zapominając...

Wszyscyśmy po paru minutach zapomnieli o niemym traczu, płacz jego przypisując temu bólowi, jaki w człowieku wszechstronnie nieszczęśliwym obudzać musi widok ludzi szczęśliwych. A myśmy byli dnia tego tak weseli i szczęśliwi, że nie spostrzegliśmy nawet, iż świadkiem tej wesołości i tego szczęścia naszego jest ten nędzarz. Wkrótce też zapomnieliśmy o jego istnieniu i gdy dni upływały, a on nie przychodził, jedna tylko Rózia zatroszczyła się czasem o to, co się z nim

dzieje, lecz i ona, zatroszczywszy się na chwilę, zapominała.

W rozmowach z bratem, we wzajemnych spowiadaniach i zwierzeniach, w przywoływanych z przeszłości wspomnieniach wspólnych, w układaniu zamiarów na przyszłość jeszcze długą, szybko przemknęły mi tygodnie, prawie miesiące, gdy w tej jasnej pogodzie, tak dla mnie nowej, życie znowu przeraźliwe zazgrzytało...

Godzina była przedwieczorna i byliśmy w domu sami tylko z bratem, gdy ktoś z domowych podał mi list, przez jakąś biedną dziewczynkę z przedmieścia podobno przyniesiony, z tego najbiedniejszego przedmieścia, co to po skłonie wybrzeża opuszcza ku rzece szary rój chatek, lepianek. List niekształtny, szorstki, z mojem nazwiskiem na kopercie, skreślonem pismem niekształtnem, zygzakowatem. Takie pismo gdzieś już widziałam... nie pamiętam! A! na tabliczce niemego tracza. Więc on to zapewne, albo ktoś bardzo do niego podobny pisze z prośbą...

Rozdarłam kopertę, otworzyłam arkusz grubego papieru, wzrok mój przypadkiem upadł najpierw na podpis i — jakby mię kto w plecy obuchem uderzył, tak porwałam się z siedzenia. Musiałam bardzo zmienić się na twarzy, bo brat przyskoczył do mnie, pytając z niepokojem.

— Co to? Co ci jest?

Tyle tylko miałam przytomności, aby mu pokazać podpis na liście i krzyknąć:

— Patrz! Patrz!

Wtedy i on krzyknął także:

— Stefan Niegirycz! Kto? Skąd? Gdzie?

A ja, z dławiącemi się w gardle wołaniami: — Gdzie? gdzie? gdzie? — biegłam do kuchni, w której zapewne była ta dziewczynka. Brat szedł za mną.

Dziewczynka nieduża, podlotek chudy i blady, jak głód, suszyła przy kuchennym piecu swe zmokłe od deszczu łachmany. Przez dwoje naraz ludzi z wielkim gwałtem zapytywana, zalękła, ledwie mogła odpowiadać.

— Niemy tracz prosił... zanieść... przed śmiercią...

— Umarł?

— Czy ja wiem? Gadali, że zaraz umrze...

— Więc jeszcze żyje?

— Czy ja wiem? Może już umarł...

— Lećmy! Co tchu wystarczy, lećmy! Może jeszcze... może jeszcze...

Okręciłam się na miejscu, chwytając i upuszczając z rąk różne odzieże, dopadając już drzwi w jednej sukni...

Ale brat, powiedziawszy dziewczynce, by nie odchodziła bez nas, opasał mię ramieniem i zaprowadził do pokoju, gdzie podał mi list.

— Trzeba przeczytać... — rzekł.

Prawda! Trzeba przeczytać. Może tu jakie żądanie, wyjaśnienie... W oczach co chwilę stawało mi się ciemno, jednak czytałam, a brat stał przy mnie z twarzą litościwą, wciąż mię ramieniem opasując.

— „Nie jestem niemy. Żaden wypadek nie pozbawił mię mowy; odjąłem ją sobie sam. Wkrótce potem, gdy mową zgubiłem siebie i innych, zacząłem szarpać sobie włosy na głowie, krzycząc do Boga: czemu mi pierwej mowy nie odebrał? Z tego przyszła mi myśl, że mogę ją teraz sam sobie odebrać... za pokutę!

„Tak uczyniłem. Postanowiłem, że nigdy już w życiu nie przemówię żadnego słowa do żadnego człowieka i dotrzymałem. Już więcej niż dwadzieścia lat minęło, odkąd do żadnego człowieka, żadnego słowa...

„Niememu człowiekowi ciężko żyć, ale dla mnie w tej ciężkości była jedyna pociecha, bo myślałem sobie, że to taka kąpiel, która obmywa moją plamę, nie przed ludźmi, ale przed moją własną boleścią. Im trudniejsze było życie, tem mniejszą stawała się boleść. Bez tego nie zdołałbym jej znieść...

„Może źle się wyrażam i pani mnie nie zrozumie, ale zapomniałem już wiele słów i jak trzeba je układać... Przepraszam, że tak źle i niezrozumiale piszę, ale zapomniałem pisać...“

— Wielki Boże! jęknął brat mój i silniej ogarnął mię ramieniem, bo musiał uczuć, że nogi podemną drżą i mogę upaść.

— „Cały majątek swój oddałem temu, który cierpiał z mojej winy. Cóż mogłem więcej? Rozdałbym, pokroiwszy, samego siebie, gdyby to było na co potrzebne, ale że nie, więc oddałem majątek. Nie zaraz to zrobiłem. Z początku myślałem, że będę mógł żyć tak, jak pierwej. Ale nie. Wszystkiego próbowałem i wszystko mi było coraz gorszą trucizną...

„A ta trucizna lała się we wszystko ze mnie samego, z tych plam, które na mnie były, a zwłaszcza z tej ostatniej. Byłem pomiędzy ludźmi, którzy o nich nie wiedzieli i ludzie zresztą prędko zapominają... Ale ja sam wiedziałem i nie mogłem zapomnieć.

(D. n.)

Tajemnica życia.

Uczony angielski, dr. H. Bastian zrobił odkrycie, które w dziedzinie spekulacji o źródłach życia może odegrać podobną rolę, jak radjum w teorjach o składzie materji.

Problemat „życia“ jest jednym z najbardziej interesujących. Nauka we wszelkich swoich działach, jeśli nie bezpośrednio to pośrednio, zmierza do rozwiązania tej zagadki. Czy to szczególne zjawisko zawdzięcza swój początek aktowi cudownemu, jak chce biblja, czy też wyłoniło się samo przez się z chemicznych i fizycznych procesów nieorganicznej materji — oto dwa kierunki, dwa poglądy, pod których skrzydłami duch ludzki zwraca się bądź ku mistycznym wierzeniom, bądź ku usilnym poszukiwaniom prawdy na drodze empirycznej.

Jak dotychczas wszystkie doświadczenia celem przetworzenia nieorganicznej materji w organiczną — spełzły na niczem. Lecz niema potrzeby wątpić w bezskuteczność wysiłków naukowych. Doktryna, że *omne vivum ex vivo*, „żywe pochodzi tylko z żywego“ — ma dlatego swą wartość, że nie udało się jeszcze badaczom uzasadnić odmiennej teorji. A przecież, opierając się na wywodach Huxley'a, jeżeli uzmysłowimy sobie, w jakim stanie znajdowała się nasza ziemia w czasie formowania się wśród procesów chemicznych i fizycznych, nie dających się w żaden sposób powtórzyć w laboratorjach chemicznych z braku odpowiednio wytrzymałych naczyń i odpowiednich środków — to ostatecznie dojdziemy do punktu, w którym po zastygnięciu ziemi z martwej materji wyłoniło się życie organiczne, wykształciła się protoplasma.

W. Fischer poświęcił w „Daily Mail“ artykuł odkryciu biologicznemu, którem podzielił się Dr. Bastian w swoim odczycie w *Royal Society* w Londynie, wygłoszonym przed kilku dniami, rzucając nowe światło na tę tajemnicę życia. Należy on do nielicznych zwolenników teorji *heterogenesis*, to jest teorji o przekształceniach jednej formy życia w inną.

W wiekach średnich teorja ta była powszechną wiarą, tłómaczącą mnóstwo zjawisk w sposób powierzchowny, jak np. że solitery biorą początek z tkanek swych nieszczęśliwych gospodarzy. Ale wiedza ścisła obaliła wszelkie podobne poglądy, wykazując, że każdy pasożyt zawdzięcza swe życie jajku zniesionemu przez rodzica podobnego gatunku. Tem samem teorja *heterogenesis* straciła wszelki grunt pod nogami i została odrzuconą przez biologów jako naukowy *lapsus*, natomiast bjologja przyjęła jako zasadę teorję *homogenesis*, to jest wykształcanie danej formy życia z takiej samej drugiej, podobnie jak chemja przyjęła teorję atomistyczną Dalton'a.

W każdym razie i te teorje są tylko czystemi teorjami. Słusznie powiedział Huxley w jakiemś dziele, że stale powtarzającą się tragedją wiedzy jest obalenie pięknej teorji przez brzydki fakt — a ta tragedja jednak jest sama przez się dowodem żywotności nauki.

Rzecz naturalna, że trzeba w nauce rozróżnić stałe, niezbite prawdy, jak dwa razy dwa jest cztery od hypotez obowiązujących na razie, to jest dopóty działających jako względne prawdy, dopóki w ich zakresie dadzą się zgodnie pomieścić wszystkie obserwowane fenomena danej dziedziny, bo te muszą ustąpić miejsca innym, szerszym, obejmującym większą ilość fenomenów a zostającym w zgodzie zupełnej z zasadniczemi prawdami wiedzy. Odkrycie radjum obaliło atomistyczną teorję, podobnie odkrycie dr. Bastiana może taką samą usługę oddać teorji *homogenesis* i wznowić, acz w zmienionej formie, teorję *heterogenesis*.

Wykazał on doświadczeniem, które każdy może powtórzyć, że jedna forma życia może w danych okolicznościach dać początek zupełnie odmiennej formie życia, a to pod działaniem czysto fizycznych warunków. Jego doświadczenie jest tak doniosłem, choć dokonane zostało z mikroskopicznemi formami i najniższemi formami życia, jak gdyby kto uczynił doświadczenie z jajem kurzem, które przy danych warunkach dałoby życie kaczce.

Dr. Bastian złożył jajka pospolitej białej „*animalcula*“ *Hydatina*, (która znajduje się w stojącej wodzie wielu stawów i rowów) w małych kamiennych naczyniach celem rozrodzenia, usuwając je z pod działania światła i pewnych niewidzialnych promieni, które zdają się odgrywać rolę w procesie — i otrzymał ciekawe wyniki, bo niektóre z tych jajek dały życie zupełnie odmiennemu rodzajowi *animalcula*. *Hydatina* jest o r g a n i z m e m w i e l o k o m ó r k o w y m, który należy do klasy *rotifera*, mającej swoje własne miejsce w szemacie zoologicznym. Tymczasem wykształcona w sposób powyższy *animalcula* należy do *infusoria*, to jest do zupełnie odmiennej klasy, które to organizmy nie mają wykształconych jakichś części organicznych, jak to widzimy u wyższych form i u rodzica *Hydatina*.

Odkrycie dr. Bastiana jest dla bjologów nader doniosłem. Jest to oczywiste przekształcenie formy

życiowej, odpowiada najzupełniej transformacji radjum w heljum.

Dotychczas zagadka pochodzenia człowieka była tajemnicą, której żadne hypotezy nie zdołały rozjaśnić. Brakło w łańcuchu samych organicznych istnień ogniwa, któreby mogło uzasadnić teorję powstawania wyższych typów z niższych. Jeżeli odkrycie dr. Bastiana nauka poprze całym szeregiem dalszych doświadczeń — wiedza stanie wobec nowej ogromnej dziedziny faktów, które mogą dać życie n o w y m p r a w d o m b j o l o g i c z n y m.

W dalszym ciągu, jeżeli prosta nieobecność światła i niewidzialnych promieni mogła wywrzeć taki silny wpływ na rozwój komórki, wyłania się pytanie, dlaczegoby wpływ nieznanych nam bliżej warunków, wśród których żyła nowo formująca się ziemia, nie miał wyprowadzić organicznego ciała z nieorganicznej materji? Jest to, rzecz naturalna, czysta spekulacja. W każdym razie odkrycie dr. Bastiana jest w dziedzinie bjologji jedną z najtrudniejszych i najbardziej interesujących kwestji, którą nauka rozwiązała. *K.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Pamiętniki wojskowe Józefa Grabowskiego, opracował W. Gąsiorowski — Warszawa 1905.

Pamiętniki te zawierają mnóstwo drobnych epizodów, od smutnego odwrotu wojsk napoleońskich z Moskwy, aż do abdykacji Napoleona, w których autor, jako oficer sztabowy Napoleona brał udział. Wiele jest zdarzeń ciekawych, jednakowoż wzgląd na to, że pisał je już starzec siedmdziesięcioletni (urodził się bowiem 24. lutego 1791, a pisał je w r. 1863, których dat wydawca nie podaje) powinien natchnąć czytelników wielką dozą krytycyzmu. Sam wydawca starał się zapobiedz niektórym błędom, prostując je w odnośnikach, lecz, że to uczynił na podstawie innych pamiętników, więc kwestji należycie nie rozjaśnił.

Najciekawszą chyba stroną tych pamiętników są zapatrywania autora na Napoleona, którego jest bezwzględnym zwolennikiem i którego stara się bronić przed słusznymi zarzutami opuszczenia sprawy polskiej. Daje nam on bowiem poznać zapatrywania większej części wyznawców kultu Napoleona.

Część edytorska nie była zbyt naukowo traktowana, razi bowiem dotkliwy brak ścisłości w datach i w cytowaniu źródeł; za to p. Gąsiorowski kładzie znaczniejszy nacisk na pierwiastek anekdotyczny, to też te pamiętniki wyglądają tak, jakby miały być substratem jakiejś powieści historycznej, a nie źródłem naukowem historji.

Bronisław Pawłowski.

Dr. Stanisław Zdziarski. Ludowość w poezji polskiej XIX. wieku, okruszyny badań, Lwów 1904. Zeszyt jest odbitką z „Ludu“ i stanowi niejako uzupełnienie obszernej pracy tegoż autora „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX. wieku“. Autor przechodzi kolejno dzieła 18-tu pisarzy większych i mniejszych talentów i wykazuje, co zostało w nich z poezji ludowej zapożyczonem. Uwzględnia przy tem tak samą treść, jak i formę i nutę ludową, która dla wielu pieśniarzy była bodźcem do twórczości i prawdziwem natchnieniem. Nie można wątpić, że i ta, choć fragmentaryczna praca p. Zdziarskiego jest cennym nabytkiem literatury krytycznej, a nadto może ona oddać, i powinna, przysługę literaturze pięknej, wskazując dzisiejszym dekadentom rozległe i wdzięczne pole do popisu na przestrzeniach życia ludowego i jego poezji prostej, lecz czystej jak woda wprost ze skalnego źródła. *K. Kr.*

ZAPISKI.

Kwestja papieru. Zarządy bibljotek publicznych i archiwów są w niemałym kłopocie z powodu lichoty papieru używanego w czasach dzisiejszych do druku książek, czasopism i do spisywania aktów. Papier wychodzący z dzisiejszych fabryk, tak jest lichy, że za lat dwadzieścia pięć niejeden rocznik dziennika, książka lub zwój aktów, chociażby najważniejszych, w proch się rozsypie. Troska ta występuje zwłaszcza przy porównaniu papieru używanego w dawnych wiekach, który mocą swoją i trwałością imponuje wprost i urąga wszelkim zębom czasu. Niedawno mieliśmy sposobność oglądać księgi pisane za czasów Władysława Jagiełły. Papier w nich, widocznie jest zwykły, podówczas powszechnie używany, gdyż i sama treść ksiąg codzienna rachunkowa, nie kazała używać pergaminu ani też specjalnych gatunków papieru. Ale mimo to papier ów różni się o całe niebo od dzisiejszych, choćby niewiedzieć jak zbytkowych i „czerpanych“ tego rodzaju fabrykatów. Stąd pokolenia dawne przekazały nam swoje nawet drobiazgi i utrwaliły je raz na zawsze, podczas gdy o nas, już choćby tylko z powodu złego gatunku papieru, na który myśli nasze i prace wylewamy, za jakie pół wieku nawet ślad gotów nie pozostać. Co prawda nie mamy tak dalece i co przekazywać potomności, ale mimo to naprzykład w Szwecji wszystkie ważniejsze akty sporządzane bywają na papierze czerpanym, to też papier ów jest tam nieproporcjonalnie tańszy, aniżeli u nas. W wydawnictwie pism codziennych i perjodycznych byłoby może wskazane wybijanie kilku egzemplarzy na lepszym papierze, przynajmniej dla użytku bibljotek.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.